Nr 20. Kraków, 16 Maja 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym, oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Listy z Rady Państwa

Jakóba z pod Wawelu.

Wiedeń 11 maja.

Czytam tu w *Krakusie* list z Dąbrowicy, w którym się korespondent, czyli pisarz tego listu chwali, że on teraz wie, co to lewica, a co prawica w Radzie państwa. No, myślę sobie, toś ty bracie mądrzejszy niżeli ja, choć tu siedzę w Wiedniu, bo choć zabij, to ci nie powiem teraz, co lewica, a co prawica. Byłoć tak do tego czasu, że licząc od prawej ręki pana marszałka, siedzieli posłowie, którzy razem ze sobą trzymali i zwali się prawicą, a że więcej ich było niż tych, co siedzieli po lewicy, więc tworzyli większość, czyli że głosów oddawali więcej, niż tamci i to znaczy, że ich przegłosowali. Przez to mogli na swojem postawić, jeśli szli kupą a razem — i jeśli rząd na to przystawał. Bo jak rząd nie chciał, to i tak się większość na niewiele zdobyć mogła. Właściwie toby tak być nie powinno, bo skoro ma być parlament czyli sejm albo Rada państwa, toby rząd tak powinien robić, jak chce większość posłów. Tak się też dzieje n. p. w Anglii, gdzie są dwa stronnictwa i jak jedno weźmie górę, to zaraz rząd ustępuje, bo królowa Wiktorya zawsze wybiera ministrów z tego stronnictwa, które wzięło górę i oni rządzą dopóty, dopóki tamci ich znowu nie zwalą. Więc raz rządzą *Wigi* a raz *Torysy* i jakoś z tem idzie pomalutku, ale dobrze, jako że już tego nauczeni od lat kilkuset.

Ale w Austryi to dopiero od lat niewielu nastała taka moda, żeby posłowie byli wybierani i we Wiedniu radzili, a że tu nie króluje żadna Wiktorya, ani kobieta wogóle królować nie może, tylko Cesarz panuje i rządzi, więc on też ministrów mianuje. Trochę się też tego trzyma, żeby byli ministrowie, jakich sobie większość posłów życzy i przed 10 laty właśnie naczelnym ministrem mianował hrabiego Taaffe, bo wtedy lewica zrobiła wielkie głupstwo i pokazała, że rządzić nie potrafi.

Chodziło wtedy o zajęcie dwóch krajów, co je Turek był zagrabił przed 400 laty Słowianom tj. Bośnii i Hercegowiny. Wtedy lewica na to przystać i na wojsko pieniędzy uchwalić nie chciała. Oni wiedzieli, co robili, a mianowicie nie chcieli, żeby w Austryi było jeszcze więcej Słowian, bo i tak jest Niemców mało, a oniby koniecznie sami rządzić chcieli. Więc wtedy Cesarz pięknie im podziękował za służbę i chciał mieć takich ministrów, żeby i Słowianom nie robili krzywdy i żeby wszystkim była sprawiedliwość równą miarką mierzona.

Srodze to się Niemcom w Austryi nie podobało i krzywdowali sobie okrutnie, że to oni sami już nie rządzą i że n. p. w Galicyi Polacy a w Czechach Czesi i t. d. do samorządu zostali przypuszczeni, i że ministrowie są też z Polaków i Czechów mianowani. Prawda że ci nowi ministrowie wcale dobrze, a może jeszcze lepiej rządzili, jako że na ten przykład nasz rodak Dunajewski potrafił wyciągnąć państwo austryackie z długów, w które było po same uszy zalazło, a tego żaden Niemiec od lat dawnych nie umiał dokazać, choć to oni nas Polaków za lichych gospodarzy okrzyczeli. Ale to ich właśnie jeszcze bardziej gryzło i korciło, a tak dalece sobie przykrzyli, że aż niektórzy poczęli zapominać, że należą do Austryi i niemieckiego cesarza nazywali otwarcie „nasz cesarz“. W Radzie państwa też wciąż narzekali, jakby kto z nich żywcem pasy darł i przeciwko wszystkiemu, co rząd przedłożył, sztorcem i okoniem stawali. Wtedy też była prawica, a do niej należeli wszyscy posłowie i słowiańscy i niemieccy, którzy uznawali to za dobre, co pożyteczne było dla krajów pojedyńczych i dla całego państwa. Bywało też nieraz jak w ewangelii, że nie wiedziała lewica, co robi prawica, a że prawica była mocniejsza, więc lewicę biła.

Nareszcie po 10 latach poszła lewica po rozum do głowy, jako że zwykle każde bicie, rozumu do głowy napędza. Zaczęli tedy chodzić koło tego, żeby oni też przecie nie byli ciągle na boku stawiani, bo i krzyczenie i narzekanie i to spoglądanie słodkie ku obcemu cesarzowi już im samym się przejadło. To chodzenie,

o którem mówię, już się zaczęło przed dwoma laty, a kto tam w Wiedniu miał oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu, to mógł wiedzieć, na co się zanosi. Wiedzieli też to Czesi, że będzie im trzeba spuścić z targu i dlatego przystali na układ z Niemcami. Mówili sobie, że lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces, a wiedzieli przytem, że co Anglia to nie Austrya, i że tu niema w Radzie państwa Wigów i Torysów, tylko jest krajów aż siedmnaście, i że jak hrabia Taaffe zechce, to pomiesza wszystko jak groch na rzeszocie. Ale te „młode“ Czechy, jak to zwykle bywa u młodych, myśleli, że głową mur przebiją i jak wzięli przy wyborach na „starych“ psy wieszać, tak suchej nitki na nich nie zostawili. A naród — jak naród, zawsze tym bardziej wierzy, którzy bardziej krzyczą i uwierzył, że „starzy“ to zdrajcy, a „młodzi“ kraj zbawią. Więc „stare“ Czechy się cofnęły zupełnie, a „młodzi“ sami zostali wybrani — i teraz?..

Teraz Niemcy się cieszą, bo „młodzi“ Czesi zrobili to, czego oni chcieli tj. klinem wleźli w prawicę i docna ją rozsadzili. A to przytem najciekawsze, że przywódzcą tych niby „młodych“ Czechów jest stary Trojan, który jest po Smolce najstarszy poseł w Izbie i już w roku 1848 posłował, kiedy Niemcy ruchawkę zrobili w Wiedniu i cesarza Ferdynanda wypędzili, albo raczej on sam uciekł. Więc ten Trojan złapał mnie raz na osobności i jak mi wziął gadać a dowodzić, tak mi o mały włos dziurki w uszach nie rozsadził, ale jednak mnie przekonać nie potrafił, że oni sobie mądrze postąpili. Albowiem taka jest najpierwsza zasada w polityce: gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba przeleźć.

Com ja z tym panem Trojanem mówił, to na inny raz opiszę, a tu tylko dokończę tego com zaczął, że teraz w Radzie państwa ani prawicy ani lewicy niemasz. Pokazało się to w piątek, w sam św. Stanisław, jako że w Wiedniu w ten dzień niema święta, więc było w Izbie posiedzenie. I ja też tam byłem.

Posłów zebrało się tylu, że bodaj czy jednego brakło, a to się nie zawsze zdarza. Na lożach i na galeryach zebrało się tyle ludu, że głowa przy głowie. Ministrowie przyszli wszyscy dziewięciu. Stary Smolka zadzwonił i kazał sekretarzowi odczytać jakieś pismo i zaraz zeszedł ze swego wysokiego miejsca, a poszedł między posłów polskich. Wtedy objął przewodnictwo pierwszy wice-marszałek baron Chlumecky i udzielił głosu Excelencyi Smolce, jako posłowi. Otoczyli go wszyscy dokoła i nikt też nie siedział, bo z ciekawości wszyscy stali. Więc Smolka przemówił krótko, że stawia taki wniosek, aby nie było z Rady państwa adresu do Cesarza tj. niby odpowiedzi na tę mowę tronową, o której pisałem w drugim liście, tylko że on pójdzie z obydwoma zastępcami swoimi do Cesarza i powie: Najj. Panie, co tu wiele gadać, my wszyscy jesteśmy Waszej Cesarskiej Mości wierni poddani — i kwita.

No, niby tak dosłownie nie mówił, ale w tym sensie. Więc pan wice-marszałek zarządził dwa głosowania: najpierw, czy to tak nagle ma się zrobić jak chce Smolka, bo zwykle każdy wniosek musi być czytany trzy razy, żeby się dobrze odleżał. Czasem też tak się odleży, że go przez sześć lat oczy ludzkie nie zobaczą. Ale z tym wnioskiem była inna sprawa — i jak wice-marszałek powiedział, żeby ci panowie, którzy są za tem, żeby wniosek Smolki był na krótkim

Bogacze loteryjni.

Co czwartek odbywał się targ tygodniowy w miasteczku Borowie. Od wczesnego rana wszystkiemi gościńcami, to na wozach, to piechotą, spieszyli ludzie do miasteczka. Co to za ruch przez cały Boży dzień panował w miasteczku! Tem większy był ku jesieni, bo ludzie mieli jeszcze co przynieść do miasteczka żydkom na sprzedaż.

Na rynku w miasteczku gwarno i rojno, jak w ulu podczas roiska: ścisk taki, że przepchać się trudno. Buty z dętemi cholewami, garnki polewane, kraciate chustki, kożuchy i sukmany, porozwieszane na drążkach, porozkładane po ziemi, po straganach, ciągną ludzi do siebie. W propinacyi gorąco i parno — kieliszki dzwonią, aż na ulicę słychać, hałas jak w bóżnicy. Na trafice ludzi jak nabił; cygara i papierosy każdy chłop lub chłopak w zębach trzyma, a dymi, jak kolejowa maszyna. W aptece baby krople anodynowe do flaszeczek kupują, albo kieliszkami spijają. Do kościoła przecie niewielu idzie ludzi, a rzadko który babce biednej proszalnej grosz do ręki wciśnie. Używają ludzie targu, grosz płynie w ręce przekupniów za lichy towar; płynie do propinacyi, na marne.

Przed jednym brudnym sklepikiem ludzi najwięcej, gęsta kupa. Na ścianie przed sklepikiem powieszona tablica. Na tej tablicy żółtemi literami napisane: *Bryńska loterya.* Pod tym napisem pięć kółek, a w kółku kredą napisana liczba. O mało ludziom oczy z głowy nie powyskakują, tak się na te numera patrzą, a rozonują, a medytują... bo to loterya dziś przyszła!

Ludzie ci stoją taką kupą, że ostatni z nich numerów na tablicy nawet dojrzeć nie mogą. Wszyscy trzymają kartki loteryjne w ręce i to w te kartki, to na tablicę patrzą, czy numera kartek nie zgadzają się przypadkiem z numerami na tablicy. Wielu z tych ludzi czytać nie umie, nawet numerów nie zna, a patrzą w kartkę i potem w tablicę tak, jakby je oczyma chcieli prześwidrować, jakby odgadnąć, czy nie wygrali dzisiaj

toporzysku załatwiony, z miejsc swoich powstali: tak się zrobił ruch wielki i wszyscy wstali. A potem zaraz udzielił głosu tym, którzy chcieli mówić o tym wniosku czy zły, czy dobry. Więc mówiło ich z kolei dziewięciu, a każdy z tych, co mówili, jest przywódzcą koła czyli klubu, albo grona posłów. Rozumiesz przeto, że jest dziewięć klubów i klubków, boć nie wszystkie równe. Najprzód mówił...

Widzę jednak że papier mi się kończy i list by nie wlazł w *Krakusa*, gdybym zaczął o tych klubach i klubkach pisać. Wolę to zostawić na inny raz, a teraz dokończę z tą lewicą i prawicą. Bo pierwej, póki była prawica, to uchwaliła adres do Cesarza, nie pytając o lewicę, ale teraz z tym adresem było tak i owak i już w czwartek było uradzone, że w piątek tak się stanie, jak się stało i jakem wyżej opowiedział. Więc posłowie wszyscy wiedzieli, że adres wpadnie w wodę, ale zobowiązali się trzymać to w tajemnicy. Mimo to, wiedeńskie żydki, co gazety piszą, wywąchali co się święci, bo oni słyszą przez mur i przez ścianę. Ja bym też miał niejedno do powiedzenia, co się działo po klubach i klubkach, nim stanęło na jednem, alem się z młodych lat nauczył tej zasady, że co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażyli w smole. Na to bowiem mają posłowie zaufanie swoich wyborców, żeby im ufali, że choć co poufnie radzą, to także czynią w najgłębszem przeświadczeniu, że radzą to, co uważają za potrzebne dla pospolitego dobra. Więc choć wszystkiego nie powiem, co wiem, to i tak będziecie dosyć wiedzieli.

Z tem Was Panu Bogu oddaję.

Jakób z pod Wawelu.

Ks. Biskup Adam Stanisław Krasiński.

Dnia 12 maja liczne tłumy odprowadziły na cmentarz krakowski zwłoki ś. p. księdza Adama Stanisława Krasińskiego byłego biskupa wileńskiego. Na czele licznego duchowieństwa postępował Jego Eminencya ksiądz Kardynał Dunajewski książe biskup krakowski, w otoczeniu księdza arcybiskupa Issakowicza i biskupa Puzyny ze Lwowa, księdza Łoboza biskupa tarnowskiego i księdza Glazera biskupa sufragana przemyskiego. W oddaniu ostatniej posługi zmarłemu wzięło udział całe duchowieństwo świeckie i zakonne Krakowa, nie licząc wielu księży z prowincyi przybyłych, a wszystkie instytucye autonomiczne i naukowe postępowały za trumną zmarłego. Na wozie pogrzebowym zawieszono liczne wieńce, a z wielu okien powiewały czarne chorągwie.

Dawno też Kraków nie chował w murach swoich tak zacnego, szlachetnego i przez wszystkich ukochanego człowieka. Do Krakowa przybył ś. p. biskup Krasiński dopiero przed laty ośmiu, a choć żył skromnie i zdala od świata, poświęcony modlitwie i pracy, to przecież wszyscy go znali i czcili, bo zasłużył na to przez swoje życie nieskalane, przez zasługi dla Kościoła i narodu i wreszcie przez długoletnie cierpienia i wygnania.

Ci co *Krakusa* uważnie czytają, wiedzą już dobrze, jakich prześladowań dopuszcza się rząd moskiewski względem wiernych sług i pasterzy Kościoła, wiedzą dobrze jak ich gnębił, wywoził, jak ich męczył, a nawet katował. A najnieszczęśliwsza zawsze była

---

dużo pieniędzy; pytają się o to innych. Tłok coraz większy — loteryjni nie słyszą nic, nie czują nic, stoją jak z kamienia, wpatrując się w czarną tablicę i kredą napisane numera, z otwartemi ustami, z zapartym oddechem, z sercem tak silnie bijącem, że wszystkie żyły tym ludziom nabrzmiały i jak baty powychodziły.

Na Anioł Pański ozwała się sygnaturka kościelna, oni nie słyszą tego dzwonienia i żaden krzyża świętego nie zrobi na swojej piersi, żaden nie zmówi Zdrowaś Marya — oni jak opętani przez złego ducha wszyscy w tej chwili, bo to loterya przyszła.

W tym tłumie loteryjnych graczów stoją młodzi i starzy, ludzie miasteczkowi i wiejscy, stoją kobiety, ostatni obdarci nędzarze. Na stawkę oddali wszyscy swój grosz, niektórzy z nich ostatni; dziś patrzą, czy nie wygrali dużo pieniędzy bez pracy, bez ciężkiego mozołu. Biedni rolnicy i wyrobnicy z Borowa oddali ostatni grosz na stawkę — grosz, za który mieli dziś dzieciom głodnym kupić chleba i dlatego tak patrzą na tablicę, bo widzą, że nie wygrali i dziś ich dzieci nic jeść nie będą, choć jeść mogły, jakby ojciec na loteryę nie postawił. Czuje to biedny robotnik, przeklina loteryę, ale oczów od tablicy oderwać nie może, patrzy znowu w kartkę, bo mu się zdaje, że on nie dowidzi, że mu się w oczach majaczy, że przecież ta loterya taką nielitościwą dla niego nędzarza i dzieci jego biednych być nie powinna, żeby mu ten ostatni grosz zabrała. Niestety — zabrała i nie wróci, choćby dzieci twoje biedaku z głodu pomarły, choćbyś ty ręce poobgryzał z żalu za zmarnowanym groszem.

Jeden za drugim z ludzi zgromadzonych przed loteryą spuszcza smutno, z ciężkiem strapieniem głowę na piersi, bo nie wygrał; odchodzą powoli ci, co nie wygrali, a w ich mózgu już świdruje myśl, że na drugi raz trzeba inaczej stawiać, inaczej numera układać; jeżeli dzisiaj nie wygrali, to chyba tylko dlatego, że numera źle były ułożone, bo tylko o jedno oko różni się numer na tablicy od numeru na kartce.

Nagle krzyknął ktoś z tej masy ludzi: Wygrałem! Niebawem jakaś kobieta zawołała: Wygrałam! Między

Litwa, w której chciano wytępić polskość i katolicyzm, a zasiać prawosławie. Najstraszniejszych jednak prześladowań doznawali katolicy i polacy za czasów powstania roku 1863, kiedy na Litwie panem życia i śmierci był dziki, krwiożerczy jenerał Murawiew. A biskupem w Wilnie, stolicy Litwy, był wówczas ks. Adam Stanisław Krasiński.

Na to wysokie stanowisko wyniesiono go za zasługi, jakie położył dla Kościoła. Urodzony w roku 1810, po ukończeniu nauk wstąpił on do zakonu Pijarów i uczył w ich szkołach języka polskiego. Kiedy rząd moskiewski zniósł u siebie zakon Pijarów, ksiądz Krasiński został świeckim księdzem. Znany już był wówczas z wielkiej nauki i ze ślicznych kazań, jakie miewał w kościołach pijarskich, ztąd też biskup wileński Kłągiewicz powołał go na kaznodzieję katedralnego do Wilna. Trudne to było zadanie, bo obowiązki te pełnił przez czas długi, sławny na całą Polskę jako kaznodzieja ks. Trynkowski, wywieziony przez Moskali na Sybir. Ale ks. Krasiński godnie go zastąpił i zachwycał słuchaczy, prawdziwem natchnieniem, umiejętnością poruszenia serca, pięknym polskim językiem i głosem dźwięcznym i mile wpadającym do ucha. Oprócz wygłaszania kazań i zajęć duchownych, pracował wiele na polu naukowem, pisał piękne książki i bardzo ładne wiersze. Został niedługo kanonikiem, a kiedy umarł arcybiskup mohilewski Hołowiński, starano się o to, aby ks. Krasiński zajął po nim miejsce. Ale rząd rosyjski wolał kogo innego i dopiero w parę lat później, po śmierci biskupa wileńskiego Kłągiewicza, otrzymał ks. Krasiński godność biskupią.

Na stanowisku biskupa wileńskiego umiał ks. Krasiński, pomimo trudnych okoliczności, taki wpływ wywierać i taki zjednać dla siebie szacunek, że nawet Moskale, zacząwszy od gubernatora i prawosławnego metropolity, stali się dla niego powolnymi i uniżonymi. Lutrzy i Kalwini, których w Wilnie było nie mało, spieszyli także ze swymi pastorami oddać cześć biskupowi katolickiemu. Bo też biskup Krasiński jako prawdziwy pasterz Chrystusowy umiał otoczyć miłością wszystkie swoje owieczki, a być wyrozumiałym nawet dla nieprzyjaciół.

Nie boi się ten Boga, nie wstydzi się ludzi,
Co nienawiść jednych przeciw drugim budzi.

— oto są słowa przez niego napisane, a których się trzymał przez całe swoje życie. Miłością jednał i pracował, a wszystkim radził:

Rób z Bogiem i przeszkodą nie zrażaj się żadną,
A ręce ci w najcięższej pracy nie opadną.

I zdawało się też, że szczęście i spokój zakwitną w całej dyecezyi, że katolicy lżej odetchną i będą mogli bez przeszkód wyznawać swą świętą wiarę, wzrastać w cnoty i krzepić się nadzieją lepszej dla kraju przyszłości.

Ale nadszedł nieszczęśliwy rok 1863, wybuchło powstanie, a car przysłał do Wilna dzikiego Murawiewa. Prześladował on wszystkich, a więc nie szczędził i czcigodnego pasterza. Wymagał od niego takich rzeczy, na które on jako biskup i dobry syn ojczyzny zezwolić nie mógł. Postanowił go więc usunąć i kazał mu jechać do wód zagranicę. Nie mogąc się oprzeć rozkazowi, wyjechał ks. Krasiński, ale w mieście Dy-

---

ludźmi stało się zamieszanie — wszyscy otoczyli kołem tych, co zawołali, że wygrali; wszyscy patrzyli na nich obłąkanemi oczyma, z dziką zazdrością. Dziesiątki rąk wyciągnęły się ku tym kartkom, które miały te same numera, co kredą wypisane na strasznej tablicy żydowskiej.

Pierwszy, co krzyknął, że wygrał, był to widocznie zamożny gospodarz wiejski. Aż miło było na niego popatrzeć. Rosły był i mocny tak, żeby wóz zatrzymał z parą koni. Ubrany w sukmanę białą z amarantowem wyszyciem, w palone buty, wyglądał jak prawdziwy ziemianin. Nie trzeba było długo na niego patrzeć, żeby się przekonać, że ten człowiek ma się dobrze. Z twarzy wyrazistej, otoczonej czarnym długim włosem, przystrzyżonym nad czołem, widać było uczciwość i otwartość; widać było, że ten człowiek żył po Bogu i pracował rzetelnie, a sumiennie. Był to Mateusz Bruzda, gospodarz na 8 morgach ze Skowronic pod Borowem.

Na kartkę loteryjną patrzał spokojnie Bruzda, bo jeszcze nie był namiętnym graczem. Namówili go ludzie i postawił trzy numera: 7, 15 i 90; dał na stawkę 10 centów. Z tych trzech numerów wyszły 7 i 90 — wygrał więc Bruzda ambo za szóstkę, czyli na pieniądze 8 złr.

Kobieta znowu, co również zawołała, że jej numera wyszły, była to biednie ubrana w średnim wieku mieszczanka i ona też ambo wygrała. Ta mieszczanka nazywała się Katarzyna Jadzińska.

— Chodźcie do żyda po pieniądze! — wołał cały tłum ludzi i popychał naprzód Bruzdę i Jadzińską. Biedni ludzie chcieli patrzeć, jak oni będą brać pieniądze; odurzyć się chcieli w swojem nieszczęściu tym widokiem grosza, który innym dostał się w udziale.

— Do żyda po pieniądze! — wołali wyrobnicy ochrypłym od rozżalenia głosem, że to nie oni wygrali.

(C. d. n.)

Józef Hopcas.

naburgu wyciągnęli go Moskale z wagonu i zesłali na wygnanie do Wiatki, miasta leżącego już blisko Syberyi. Dwadzieścia lat tam przebywał w niewoli, ale wielka jego dusza nie dała się złamać żadnym ciosem, bo jak sam pisał:

Nie upadnie na duchu kto wierzy głęboko,
Że nad nim czuwa Boskiej Opatrzności oko.

Wyślą cię na wygnanie,
[wtrącą do więzienia,
Patrz w niebo i z Golgoty
[bierz wzór poświęcenia.

Umiej z godnością znosić
[dolę i niedolę;
By ci sił nie zabrakło, krzyż
[połóż na czole.

I patrzał w niebo i z Golgoty brał wzór poświęcenia i kładł krzyż na czole, aby mu sił nie zabrakło. A ciężkie zaiste przyszły nań cierpienia Z Litwy, z ukochanego Wilna, przychodziły coraz gorsze wiadomości. Murawiew księży wieszał, wywoził na Sybir, zamykał kościoły. W ciągu dwóch lat zamknięto 137 świątyń Pańskich, a ludność gwałtem zmuszano do przechodzenia na schyzmę. O tem wszystkiem wiedział wygnany biskup, a serce jego się rozdzierało, że nic pomódz nie mógł tym, co jak on cierpieli prześladowanie za wiarę i ojczyznę.

Dwadzieścia lat przeżył takich ciężkich katuszy, ale nie ustawał w pracy, lecz układał i pisał nowe księgi, które mu zjednały sławę uczonego.



X. Adam Stanisław Krasiński,
b. Biskup Wileński.

To też kiedy Stolica Apostolska wyjednała u rządu rosyjskiego powrót z wygnania najzacniejszego pasterza, przybył do Krakowa i ogłosił drukiem owoce swej długoletniej pracy. A były to księgi takie uczone, tak mądre i pożyteczne, że Akademia Umiejętności mianowała go swoim członkiem. A zaszczyt to wielki, bo trzeba wiedzieć, że Akademia ta, to jest zbiór ludzi najuczeńszych nietylko w kraju, ale i zagranicą, a członkiem jej tylko ten być może, kto ogromne zasługi położył dla nauki.

W Krakowie jak to tuż napisaliśmy, wszyscy znali biskupa Krasińskiego. Ile razy ten ośmdziesięcioletni staruszek wyszedł na spacer, biegły ze wszystkich stron dzieci do niego, a on je błogosławił, rozmawiał z niemi, rozdawał obrazki i cukierki. Kto na to patrzał, przypominalo mu się jakto Pan Jezus kazał maluczkim przychodzić do siebie i każdy uczuwał jak ten starzec i wygnaniec naukę Chrystusową w sercu swojem mieścił głęboko.

Szczery, skromny, pełen prostoty, prawdziwy apostoł wiary i miłośnik ojczyzny, ksiądz biskup Krasiński pozostawił po sobie pamięć, która przez długie lata nie zginie. Napisał on kiedyś te złote słowa:

Z pogodnem czołem stanie
[na wieczności progu
Kto spełnił, co był winien
[ojczyznie i Bogu.

On rzeczywiście spełnił wszystko, co do niego należało, a śmierć jego była taka łagodna jak i całe życie. Nie chorował całkiem, ale zasnął skutkiem lat sędziwych.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! a światłość wiekuista niechaj mu świeci!

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

Pierwsze wiadomości z Warszawy donosiły, że w dniu 3-im maja nie było żadnych niepokojów, — i tak też *Krakus* napisał swoim czytelnikom. Ale pokazało się, że nie stało się tak dobrze, jak donoszono, bo kiedy młodzież wracała z ogrodu botanicznego, o czem już było w przeszłym numerze *Krakusa*, i część jej poszła do Saskiego ogrodu, wtedy gubernator warszaw-

ski Hurko, za namową swej żony nienawidzącej Polaków, kazał otoczyć ogród kozakami i wszystkich aresztować. Aresztowano więc kilkudziesięciu, bo reszta uciekła. Pomiędzy aresztowanemi byli i tacy, co nie brali żadnego udziału w pochodzie, a nawet kilku Moskali. Kozacy, jako to wojsko dzikie, kilkanaście osob zbili nahajkami, a dostało się przy sposobności i paru Moskalom, którym się przecież ani śniło obchodzić konstytucyi 3 maja. Wszyscy myśleli, że na tem się skończy, bo dużo aresztowanych wypuszczono, a tylko kilku zatrzymano. Na nieszczęście pomiędzy aresztowanymi był akademik Bruliński, który się przestraszył, że go Moskale męczyć będą i odebrał sobie życie w areszcie. Okropny ten wypadek wzburzył całą młodzież, która domagała się, aby jej dozwolono być na pogrzebie kolegi. I rzeczywiście o naznaczonej na pogrzeb godzinie zebrało się na cmentarzu wielu akademików, ale Moskale Brulińskiego potajemnie pochować kazali. Młodzież poszła na grób tych pięciu, których Moskale w r. 1861 zabili na ulicach Warszawy. Kiedy się modliła i śpiewała nad grobem, przyszła policya i wszystkich zaaresztowała. Na drugi dzień wypuszczono większą część młodzieży, ale i tak koło czterdziestu akademików siedzi w areszcie. Dałby Bóg, aby na tem już się skończyło, bo nierozwaga młodzieży mogłaby bardzo smutne sprowadzić następstwa. Tak to zawsze, zanim się coś zrobi, trzeba się naprzód zastanowić, czy tem nie wyrządzi się komu lub wszystkim wielkiej krzywdy. Bardzo to pięknie, że młodzież kocha przeszłość i ojczyznę, a nawet cierpieć za nią gotowa, ale miłość ojczyzny nie powinna prowadzić do nierozważnych kroków. Ojczyznie nic przez to nie przybyło, że zebrało się dużo ludzi w botanicznym ogrodzie i że młodzież rzucała kwiaty na miejsce, gdzie miał stać kościół poświęcony pamięci 3-go maja, — a mogły z tego powstać większe zamieszki i Moskale mściliby się i na tak już biednych Polakach. A kto powróci rodzicom i krajowi tego nieszczęśliwego młodzieńca, co odebrał sobie życie? Tych, co są aresztowani, pewnie Moskale wypędzą z uniwersytetu i ubędzie znowu krajowi kilkudziesięciu ludzi, coby jako doktorzy, nauczyciele, lub prawnicy dla niego pracowali. A więc źle się stało i tylko dziękować należy Panu Bogu, że do smutniejszych jeszcze rzeczy nie doprowadziła nierozwaga młodzieńcza.

— Z Rzymu odebrano pewną wiadomość że arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim zostanie mianowany ks. Edward Lichowski. Już od miesiąca o tem donoszono, to też *Krakus* pisał już o tem i opowiedział swoim czytelnikom kim jest ksiądz Likowski i jak się cieszyć należy jeżeli wiadomość o jego mianowaniu jest prawdziwą. Dziś stanowczo mówią, że jest to prawda, a więc dziękujmy Panu Bogu, że braci naszych z pod Prusaka pocieszy, dając im na pasterza polaka, człowieka zacnego i uczonego. Jednocześnie Ojciec święty zamianuje arcybiskupem mohilewskim ks. Szymona Kozłowskiego. Arcybiskup mohilewski to jest właściwie biskup wszystkich katolików mieszkających w całej Rosyi, naturalnie po za Królestwem Polskiem i Litwą. Sufraganem, to jest biskupem pomocnikiem arcybiskupa Kozłowskiego, będzie mianowany ks. Simon rektor akademii Rzymsko-katolickiej w Petersburgu.

— Z Wiednia donoszą, że Koło polskie uchwaliło zażądać od rządu założenia w Galicyi *trafik solnych* oraz sprzedaży taniego kainitu kałuskiego. Delegacya, która pójdzie starać się o to u prezesa ministrów hr. Taaffego, domagać się będzie także, aby inne dni targowe przeznaczono dla nierogacizny galicyjskiej w Wiedniu. Przy rozprawie budżetowej mają Polacy żądać wniesienia jak najprędzej nowego projektu ustawy do spraw cywilnych i karnych, ponieważ dzisiejsze ustawy wpływają na przewlekanie spraw i pociągają za sobą znaczne koszta, nie mówiąc już o tem, że są w nich niektóre przepisy, czyli tak zwane paragrafy, nieodpowiadające dzisiejszym czasom i stosunkom. Obie ustawy sądowe, tak cywilna jak i karna, bardzo już dawno zostały wprowadzone, bo od stu lat prawie obowiązują, a przez sto lat dużo się zmieniło na świecie i każde prawo, aby było dobre, musi być od czasu do czasu poprawiane.

Ostatnie listy z Wiednia donoszą, że Koło polskie podniosło sprawę wynagrodzenia za podwody i uchwaliło, aby zażądać podwyższenia płacy za kilometr z $2^1/_2$ na 3 centy.

— Ks. Ruczka przedstawił wniosek, aby w Radzie państwa Polacy przemawiali za tem, aby żołnierzom po odbytej służbie wojskowej dawano odzież i obuwie.

Rzym. Sekretarz papieski, kardynał Rampolla, przedstawił posłom różnych mocarstw, którzy w Rzymie mieszkają, na jakie niebezpieczeństwa są narażone zpowodu składów prochu i fortec pod miastem, starożytne budowle, kościoły, rzeźby i inne niezmiernie cenne zabytki oraz pamiątki, których w Rzymie jest pełno. Papież żąda, aby rząd włoski, wynagrodził straty i szkody poczynione przez wybuch, o którym pisze *Krakus* w Rozmaitościach.

Austrya. Już *Jakób z pod Wawelu* zawiadomił w swym liście do *Krakusa* pisanym, że uchwalono nie pisać adresu do Cesarza w odpowiedzi na jego mowę tronową, ale wysłać do niego deputacyę z podziękowaniem od Rady państwa. I stało się bardzo dobrze, bo byliby posłowie kilka dni stracili na czczych gadaninach i sprzeczkach. Tym, co podał tę myśl, aby nie pisać adresu, a tylko złożyć podziękowanie, był prezes Rady państwa Dr Smolka, nasz poseł polski ze Lwowa. Dnia 10-go maja udał się Dr Smolka wraz z dwoma wiceprezesami Izby poselskiej do zamku cesarskiego i zło-

żył Cesarzowi w imieniu całej Izby podziękowanie za wyrażone w mowie tronowej wzniosłe zamiary monarchy. Potem zapewnił Dr Smolka Cesarza o niezmiennej wierności i stałem przywiązaniu całej Izby do jego Osoby. Najjaśniejszy Pan odpowiedział, że z zadowoleniem przyjmuje to zapewnienie i cieszy się bardzo, że wszycy posłowie bez wyjątku zgodzili się na wyrażenie mu tego podziękowania, zamiast pisania adresu. Następnie wyraził Cesarz nadzieję, że czas oszczędzony na rozprawach adresowych użyty zostanie na załatwienie licznych i ważnych zadań, jakie czekają Izbę poselską.

Rada państwa miała ostatnie posiedzenie we środę, poczem odroczono dalsze posiedzenia z powodu Zielonych świątek na dni ośm. Rozprawy nad budżetem rozpoczną się dopiero 3-go czerwca.

W komisyi budżetowej nasz poseł Piniński przemawiał bardzo zatem, aby zmniejszyć ilość kantorów loteryi i pomału dążyć do tego, aby ją znieść zupełnie, bo jest ona jedną z przyczyn szerzącej się biedy po wsiach i po miastach.

Rosya. Następca tronu rosyjskiego znajduje się obecnie w Japonii, lecz o mało nie opłacił życiem chętki podróżowania. Jakiś Japończyk w mieście Otsa rzucił się na niego z pałaszem i silnie zranił. Jakie były powody tego napadu dotychczas nie wiadomo. Przypuszczają, że carewicz wszedł w taką część miasta, gdzie cudzoziemcom, jako do miejsc uważanych za święte, wchodzić nie wolno, — i że to było przyczyną wypadku.

Wogóle z rodziną cara nie dobrze się dzieje. Przed paru tygodniami umarła jego siostra, a przed tygodniem stryj wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. Jeden z synów cara dostał suchot i leczy się w cieplych krajach. Podobno także dogorywa drugi stryj cara Konstanty Mikołajewicz, co to był kiedyś namiestnikiem w Królestwie Polskiem, a i jego żonie niewiele do śmierci brakuje.

Rząd rosyjski chciał zaciągnąć nową pożyczkę we Francyi za pośrednictwem słynnego bogacza Rotszylda. Ponieważ jednak wydano w Rosyi bardzo srogie przepisy przeciw żydom, bo im prawie zupełnie po miastach siedzieć i kupczyć nie wolno, więc Rotszyld, jako żyd także, odmówił rządowi rosyjskiemu pożyczki, a ztąd wprowadził go w kłopot niemały. My tam Moskali nie żałujemy, ale w każdym razie przykra to rzecz, że dziś prawie wszystkie rządy muszą zależeć od bogaczy żydowskich. Jak tu ma być porządek na świecie, kiedy takich kilku ludzi tyle zbierze pieniędzy, że trzęsą prawie całym światem. Często nawet wojna i pokój zależą od tego, czy taki Rotszyld pożyczy pieniędzy. To też podobno i rząd moskiewski złagodniał i posłał do miasta Moskwy rozkaz, aby z wypędzaniem żydów nie tak się spieszono.

Serbia. Królowa Natalia nie chce opuścić Serbii, choć wszyscy ją o to proszą. Przyjechał nawet z Węgier krewny jej hr. Hunyadi, ażeby ją skłonić do wyjazdu i nie narażać Serbii na ciągłe zawikłania. Nic jednak nie poradził, a więc Sejm serbski, wystósował do niej pismo, w którem ją prosi, aby dla dobra kraju i swego syna, młodziutkiego króla Aleksandra, wyjechała za granicę, jak to uczynił dawny król serbski Milan, który był mężem Natalii, zanim nie dostał rozwodu. Ale na upór babski nie ma lekarstwa. Natalia odpowiedziała, że uchwała sejmu (tak zwanej Skupczyny) nie jest rozkazem do opuszczenia kraju, ale tylko życzeniem, którego ona spełnić nie ma zamiaru. Naturalnie, że Skupczyna napisała do Natalii grzecznie, z zachowaniem czci należnej matce królewskiej, a ona tylko udaje, że nie rozumie o co chodzi. Ładna więc rzecz będzie, jak ją policya wsadzi do wagonu i wywiezie za granicę.

Grecya. Na wyspie Korfu należącej do Grecyi, ludność miejscowa napada na żydów, tak że ci przez cały dzień siedzą w domu zamknięci i nosa na ulicę nie wychylają. Jak chce żyd kupić sobie pożywienia, to musi wstawać o 5-tej i cichaczem iść do przekupniów, którzy mu trzy razy każą więcej płacić aniżeli co warte. Wielu żydów już zrabowano i bardzo wielu pobito. Co gorsza, wojsko co ma ochraniać żydów, jeszcze im od siebie coś dodaje. Prawda, że żydzi musieli dużo zawinić, kiedy ich mieszkańcy tak nie cierpią, ale miłość chrześcijańska nie pozwala na krzywdy i rozboje. Najlepiej by ludność zrobiła, żeby się żydom wyzyskiwać nie dała, a wówczas żydzi musieliby więcej pracować, a mniej ludzi oszukiwać i lichwą się bawić.

Już to wogóle wszędzie teraz występują przeciwko żydom, ale nie po chrześcijańsku, bo z krzykiem i pięścią. Widząc to bogaci żydzi, myślą o tem, ażeby wywieźć dużą część żydów z Europy i założyć w Ameryce państwo żydowskie. Bogaty żyd Hirsch, co to dał aż 12 milionów żydom galicyjskim, myśli podobno najwięcej nad tem jak owo państwo założyć.

Z Indyj angielskich w Azyi. Na poskromienie królestwa Manipuru w Indyach, posłane zostały jednocześnie trzy oddziały wojsk angielskich z trzech różnych miejscowości, a to w ten sposób, aby zeszły się pod miastem Manipurem i razem je zdobyły. Przybyły one tam, ale zdobywać miasta nie miały potrzeby, bo nikt go nie bronił. Nie było w niem żywego ducha, domy stały pustkami, gdyż cała ludność i rządca kraju uciekli w góry. Koło pałacu królewskiego, wojsko znalazło głowy pozabijanych anglików, a między niemi głowę Kintona, który był posłany dla rozmówienia się z rządcą Manipuru.

Na trzy dni przed wejściem do miasta Manipuru, jenerał angielski Graham napadł niespodzianie na okopy między bagnami, w których siedziało tysiąc ludzi uzbrojonych. Dwustu z nich zostało zabitych, a reszta uciekła. I wojska angielskiego jednak coś padło; jeden oficer został zabity, a czterech ranionych, ilu zaś pole-

gło żołnierzy, o tem jakoś nie donoszą. (Wojsko angielskie w Indyach składa się z żołnierzy branych tam na miejscu, tylko oficerowie są anglicy i to nie wszyscy).

Rady gospodarskie.

O uprawie kartofli czyli ziemniaków.

(Dokończenie.)

Najlepszy czas do sadzenia kartofli jest wtedy, gdy niema już obawy nocnych przymrozków, bo chociaż w razie zmarznięcia pierwszych pędów wydobędą się inne, to jednak opóźnia się wskutek tego ich rozwój. W każdym razie korzystniej jest sadzić je do ziemi już nieco ogrzanej, więc począwszy od drugiej połowy kwietnia aż do końca maja. Naprzód sadzą się zwykle odmiany wczesne, które wcześniej pożytkować chcemy, następnie odmiany późniejsze, a w końcu znowu wczesne, jeżeli potrzebujemy mieć kartofle młode w jesieni, lub zachodzi słuszna obawa, że odmiana późna już nie dojrzeje przed mrozami.

Można też sadzić kartofle dwa razy w jednym roku na tem samem miejscu, co szczególnie dla tych, którzy mają bardzo mało gruntu, jest rzeczą wielce korzystną. Robi się to w ten sposób, iż sadzi się na wiosnę odmianę dojrzewającą bardzo wcześnie i to z dobrze już wyrośniętemi kiełkami, wystrzegając się uszkodzenia ich i nasypując ziemię pod sam wierzch tych pędów. Jeżeli kartofle nie zostaną zmrożone, rosną szybko i dojrzeją prędzej od innych. Tymczasem przygotowują się nowe wysadki trzymając je w izbie, ażeby przywiędły i skiełkowały, a gdy pierwsze kartofle już z ziemi wybrane, czyli spożytkowane zostaną, sadzi się je ponownie w tem samem miejscu, co nastąpi mniej więcej z końcem lipca, mają więc około trzech miesięcy do wydania drugiego plonu.

Do zasadzenia jednego morga potrzeba zwykle 7 do 10 korcy kartofli. Lepiej jest dać nieco więcej aniżeli zbyt mało, gdyż plon będzie wtedy obfitszy i robota opłaci się lepiej; zbyt jednak gęsto nie należy sadzić, gdyż krzaki nie rozrosną się i gląbie będą drobne.

Na parę tygodni przed sadzeniem, jeżeli już niema obawy silnych przymrozków nocnych, trzeba znieść kartofle na boisko do stodoły, ażeby przeschły i przewiędły dostatecznie, co przyczynia się do ich wytrzymałości i lepszego plonu. Do sadzenia trzeba brać kłęby średniej wielkości, gdyż zbyt małe nie są zwykle zupełnie dojrzałe, więc lepiej użyć je do karmienia trzody, największe są przydatniejsze do gotowania, gdyż mniej potrzeba roboty z ich obieraniem. Jeżeli jednak wszystkie kartofle są bardzo duże, można je krajać na dwie połowy w kierunku podłużnym, jeżeli obie posadzić chcemy, albo też w poprzecznym, gdy przeznaczamy wierzchnią część do sadzenia, a dalszą do gotowania lub na inny pożytek. Przy kartoflach zupełnie krągłych uważać należy, po której stronie znajduje się najwięcej oczek i tę przeznaczać do sadzenia. Krajanie na więcej części nie jest korzystnem, gdyż krzaki będą bardzo wątłe i nie dadzą dobrego plonu. Uważać też należy, ażeby krajanki nie leżały na kupie i nie zagrzały się, gdyż wtedy stracą siłę kiełkowania i gnić będą w ziemi. Na gruntach słabszych, mniej wygnojonych, lepiej jest sadzić większe kartofle, by młode roślinki miały więcej pożywienia. Jeżeli kartofle porosną zbyt silnie w kopcu lub w piwnicy, to należy długie kiełki obłamać, gdyż skaleczone przy sadzeniu lub przykryte grubo ziemią, będą gnić i wstrzymają ponowne kiełkowanie kartofli. Obłamywanie kiełków kartofli przechowanych w piwnicy można powtórzyć parę razy, a mniej to jest szkodliwem, aniżeli dopuszczenie do zbytniego ich wyrostu. Tylko w wypadku, opisanym powyżej, sadzimy kartofle z długiemi kiełkami, zachowując wszakże wielką ostrożność, by ich nie skaleczyć.

Gdy kartofle, które posadziliśmy w rzędy, zaczną już wschodzić o tyle, że z pojedynczych krzaków można już poznać kierunek tych rzędów, należy rolę zbronować parę razy w kierunku podłużnym. Niszczy się tym sposobem chwasty i rozkrusza grudki, a chociaż niektóre kartofle zostaną bronami wyrwane z ziemi, niewielka to strata w porównaniu z korzyścią, jaką daje bronowanie. Zaraz potem, a najlepiej w tym samym dniu obsypać należy krzaczki ogartywaczem lub kopaczką, ażeby przy braku osłony nie ucierpiały i wytworzyły jak najrychlej drugi rząd korzeni, oraz by utworzone ponownie bruzdy mogły odprowadzać wodę deszczową. W razie opóźnienia się z tem oboraniem kartofli skródlonych i nastania czasu słotnego, powierzchnia roli zostanie zbyt silnie przyklepaną, a całe pole zabagni się i kartofle zgniją. Następnie, gdy nać kartofli podrośnie do sześciu cali, trzeba pospieszyć z oplewieniem i dwukrotnem okopaniem w krótkich po sobie odstępach, gdyż opóźnienie tej roboty powoduje następnie uszkodzenia korzonków kartoflowych i wstrzymuje rozrost gląbi. Na rolach lżejszych i wolnych od chwastów, wystarcza czasami jednorazowe okopanie rzędów po poprzednim ich zbronowaniu i przykryciu ziemią.

Przy sadzeniu w zagony odpada oczywiście bronowanie, lecz tem wcześniej należy użyć kopaczki.

O zbiorze kartofli, jako o rzeczy wszystkim dobrze znanej, niewiele da się powiedzieć, zwrócić jednak należy uwagę gospodarzy na potrzebę dobrego dojrzenia kłębów w ziemi, bo tylko takie przechowają się dobrze przez zimę, a dojrzałość zupełną poznać można po twardej łupce, która nie łatwo zsuwa się przy naciśnięciu palcem. Zieloność naci nic tu nie stanowi, gdyż przy niektórych późnych odmianach pozostaje ona świeżą aż do mrozów. Dokładne przebieranie kartofli zaraz przy zbiorze i oddzielanie zdrowych i dużych od nadpsutych

i drobnych jest dlatego konieczne, iż wszelkie nadpsucie daje się na świeżo dobytym kartoflu łatwiej spostrzedz i że natychmiastowem przebraniem oszczędzamy sobie ponowną trudniejszą już robotę w domu, oraz nie narażamy inne kłęby na zarażenie się od nadpsutych. Przebieranie takie łatwiejsze jest przy dobywaniu kartofli kopaczką; mniej dokładnem bywa przy wyorywaniu rzędów pługiem, a to z powodu pośpiechu, jaki wtedy jest konieczny, lecz w takim razie lepiej jest dać nieco więcej ludzi do zbierania kartofli, a wymagać starannego ich rozdzielenia do osobnych koszyków. Wyorywanie pługiem jest tańsze i prędsze, ale mniej dokładne, gdyż więcej kartofli zostaje w ziemi.

Przechowanie większej ilości kartofli odbywa się najlepiej w kopcu, który usypuje się na miejscu suchem, wystruganem z trawy i w rozmiarach niezbyt szerokich ani też wysokich, dając za to długość wedle potrzeby lub upodobania. Kopce takie przykrywa się słomą równą na parę cali grubości, a w razie obawy słoty obrzuca się cienką warstwą ziemi z wyjątkiem samego szczytu, który na noc lub w czasie deszczu przykrywa się w całej długości grubemi wałkami ze słomy. Przez otwór ten w górze uchodzi zbyteczna wilgoć i ciepło, które powstaje początkowo w kopcu. Dopiero gdy nastaną silne przymrozki, okrywa się cały kopiec wraz z leżącemi na szczycie ziemią na grubość jednego jeszcze łokcia i tak pozostaje aż do wiosny.

A. Lippoman.

.. **Olszyna i jej rozmnażanie.** Niektórzy gospodarze czując potrzebę rozmnażania drzew, pragną też zaprowadzić na swych gruntach w odpowiednich miejscach olszynę. Nie wiedząc jednak, jak się do tego brać, kilku z nich pisało do nas, żądając potrzebnych wskazówek. Więc zasięgnęliśmy rady znawców i odpowiedź ich do wiadomości czytelników podajemy.

Dwa są gatunki olszyny: *czarna* i *biała*. Jedna od drugiej różni się głównie tem, że gdy czarna lubi grunt wilgotny, pulchny i żyzny, to biała potrzebuje ziemi takiej samej, lecz mniej wilgotnej.

Rozmnażać olszynę można dwojakim sposobem: albo z nasienia, albo z korzeni rozchodzących się od pnia. Gdy drzewo zetniesz, to korzenie jego puszczają silne pędy. Z tych jeden najsilniejszy trzeba pozostawić, a inne wycinać.

Nasienie olszyny dojrzewa w ciągu miesiąca października. Wtenczas to najlepiej zbierać szyszki, z których nasiona łatwo się wysypują. Można jednak zbierać i później. Tej samej jesieni świeżo zebrane nasiona trzeba rozsiać po ziemi i lekko ją zbronować.

Jeżeli grunt jest zarosły trawą, to przed siewem olszyny należy tę trawę skosić.

Gdy zbiór nasienia był zbyt późny, to zebrane ziarna trzeba zachować w chłodnem ale nie mroźnem miejscu i siać na wiosnę w marcu lub kwietniu, skoro śnieg staje i ziemia rozmarznie.

Siew jesienny wschodzi w 5 lub 6 tygodni po spadnięciu śniegów. Na wzejście siewu wiosennego trzeba czekać nieco dłużej. W jesieni jednak należy siać gęściej, bo wiele ziarn zmarnieje przez zimę. Mimo to olszyna siana w jesieni rośnie szybciej i bywa większa, niż wiosenna.

NOWINY.

Piszą do *Krakusa* z Zarzecza nad Sanem (powiat Niski):

Za głównem staraniem nauczyciela ludowego p. Jana Brydaka i kontrolora dóbr p. Dyonizego Martiniego otworzyło Krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej przy Kółku rolniczem w Zarzeczu czytelnię ludową.

Uroczystość otwarcia odbyła się dnia 21 kwietnia 1891 r. w sali szkolnej wspaniale ozdobionej, a to w obecności Wielmożnego Dr. Klemensa Kostheima właściciela dóbr ziemskich, ks. proboszcza Józefa Güntera z Racławic, ks. katechety Paculy z Racławic i bardzo licznie zgromadzonych włościan, gospodyń i dzieci szkolnych. Byli także włościanie z okolicznych wsi. Po odprawionem nabożeństwie w kapliczce ozdobionej i rzęsiście oświetlonej, podczas którego dziatwa szkolna śpiewała pieśni nabożne, zaprosił ks. Günter zgromadzonych do sali szkolnej i przedstawił i cel czytelni ludowej i powołanie szkoły, która natenczas działa dodatnio, jeżeli idzie ręka w rękę z Kościołem. — Kierownik czytelni i założyciel Kółka rolniczego w Zarzeczu p. Dyonizy Martini skreślił w zwięzłych słowach cel kółek rolniczych, podniósł dodatnią działalność ich w całym kraju tak w kierunku ekonomicznym jakoteż naukowym — wykazał ile dotychczas dobrego zdziałały wyswobadzając lud z rąk obcych i robiąc go ekonomicznie niezależnym i podniósł wartość i potrzebę prawdziwej oświaty do której dzięki szczodrobliwości Towarzystwa oświaty ludowej w Krakowie, założona właśnie czytelnia w wysokim stopniu przyczynić się powinna.

— Piszą do *Krakusa* z Kłaja:

Kiedy cały kraj polski, jak długi i szeroki, cieszył się i radował — tam gdzie mu wolno było tę radość wyjawić — w dniu uroczystości setnej rocznicy Konstytucyi 3go Maja i nasze Kółko rolnicze w Kłaju nie pozostało w tyle za innemi, lecz także brało czynny udział w tej miłej dla każdego Polaka uroczystości. Wprawdzie nie było u nas ogni sztucznych lub muzyk, bo na to nasza wieś zdobyć się nie mogła, ale za to nie brakło serc ochotnych. Kiedy bowiem młodzież i gospodarze z Kłaja dowiedzieli się z kazalnicy w kościele w Niepołomicach, aby się licznie zgromadzili w Kłaju do szkoły na odczyt w celu uczczenia Konstytucyi 3go Maja, pospieszyli prawie wszyscy tak, że ich szkoła objąć nie zdołała i z wielkiem zajęciem słuchali o tym pamiętnym dniu, w którym rozlegał się po całej Polsce okrzyk: „Wiwat król! Wiwat naród! Wiwat wszystkie stany!“ Gdzieniegdzie odzywały się głosy, „że też to nic dotychczas nie wiedzieliśmy o tym

ważnym wypadku". Rozważając o tem, co słyszeli, późnym wieczorem rozchodzili się do swych chat wieśniacy z tem życzeniem w sercu, aby kiedyś Pan Bóg pozwolił narodowi polskiemu obchodzić wszędzie bez wyjątku uroczyście ten ważny dzień 3go Maja.

— Piszą do *Krakusa* z Krzeczowa:

Uroczystość setnej rocznicy konstytucyi odbyła się uroczyście w kościele tutejszej gminy w dniu 3-go maja rb. IMP. ksiądz Mianowski znajdujący się w tym czasie w gminie na majowem nabożeństwie, w dniu 2 maja licznie zgromadzonemu ludowi wyłożył w dobitnych słowach, jak uchwalono konstytucyę i jaki z niej jest pożytek, a zaczął mowę swoją od wezwania opieki Najświętszej Maryi Panny, jako opiekunki Królestwa Polskiego.

W dniu 3 maja IMP. ksiądz nasz Aleksander Płaziak o godzinie 9-tej odprawił solenną wotywę wobec licznie zebranego ludu. Po nieszporach odbył się odczyt w Czytelni, pod przewodnictwem jej kierownika.

Jakób Marszałek,
kierownik Czytelni.

— Wydział krajowy uchwalił, przez wędrownych nauczycieli rolnictwa i przez pisma dla ludu wiejskiego wychodzące, pouczać, że wszelkie z drzewa wykonane budowle wiejskie, powinny być na podmurowaniach osadzone, a budynki mieszkalne w kominy zaopatrzone.

Następnie uchwalił wydział krajowy, iż należałoby przedstawić Sejmowi odpowiedni projekt ustawy budowniczej dla osad wiejskich, gdyż tylko zachowaniem pewnego ładu i porządku w stawianiu budowli wiejskich, dałoby się, zdaniem Wydziału krajowego, zażegnać tak dotkliwe i niszczące klęski pożarne.

Wezwał więc Wydział krajowy nauczycieli wędrownych gospodarstwa wiejskiego, pp.: Edmunda Bielskiego, Seweryna Wiśniewskiego, Władysława Stamirowskiego i Antoniego Wiska, ażeby podczas nauki swej wędrownej, zwracali uwagę włościan na potrzebę osadzania wszelkich budynków drewnianych, zwłaszcza zaś mieszkalnych na trwałych podmurowaniach i zaopatrywania budynków mieszkalnych w kominy murowane, wykazując korzyści ztąd wynikające, tak ze względu na trwałość takich budowli, a względnie bezpieczeństwo ognia, jak i ze względów zdrowia. Zarazem polecił Wydział krajowy zwrócić uwagę włościan, na potrzebę takiego położenia budynków gospodarskich i mieszkalnych, jakieby w razie klęsk pożaru, ratunek umożliwiało. Nadto wskazał Wydział krajowy, że byłoby bardzo pożądanem, aby nauczyciele wędrowni, wspólnie napisali w tym przedmiocie artykulik dla pism ludowych.

— W niższej szkole rolniczej w Dublanach, jest na przyszły rok 12 miejsc dla uczniów odbywających nauki na koszt kraju. Ci, co chcą z tego korzystać, powinni się zgłosić do Wydziału krajowego najdalej do 30 czerwca. Warunki przyjęcia są następujące: trzeba mieć skończonych lat 16, świadectwo co najmniej z ukończonej szkoły ludowej z postępem bardzo dobrym i świadectwo moralności, a przytem trzeba się poddać egzaminowi wstępnemu.

— Za staraniem ks. proboszcza Ulanowskiego założyło Towarzystwo krakowskie oświaty ludowej, czytelnią w Turbji w Tarnobrzeskiem, którą otwarto uroczyście w dniu 3-cim Maja.

— W Padwi w powiecie mieleckim w dniu 8 maja pożar zniszczył zupełnie 12 zabudowań. Proboszcz miejscowy ks. Wilhelm Skopiński prosi, aby dla nieszczęśliwych pogorzelców przysyłano na jego ręce składki pieniężne.

— W obchodzie setnej rocznicy Konstytucyi 3 maja wzięło w Berlinie udział 4000 Polaków, co się Niemcom nie bardzo podobało.

— Piszą do *Krakusa* z Gorzkowa:

Dnia 3. maja po nabożeństwie nieszpornem zgromadzili się członkowie Czytelni i ludność całej parafii w sali szkolnej w Brzeźnicy, na ten cel udekorowanej, gdzie też niebawem przybył ks. proboszcz Jan Piaskowy i zagaił zgromadzenie rzewną i patryotyczną przemowę o znaczeniu konstytucyi 3. maja, wykazawszy słuchaczom, jakie ona doniosłe miała znaczenie, czem była, jakie to osobistości pracowały nad podniesieniem upadającej Polski i jak głęboko się zapisał ten dzień w dziejach narodu.

Następnie kierownik Czytelni, Jan Lohn z Gorzkowa, opowiadał słuchaczom, jak powstało państwo polskie, począwszy od Mieczysława aż do panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, kiedy to sejm czteroletni uchwalił konstytucyę 3 maja 1791. Dalej odczytał Pan Marcin Dźwigaj, organista miejscowy, akt konstytucyi i artykuły stanowiące prawa. Na zakończenie urządzono wieczorek z zabawą i deklamacyami, na którym odspiewano „Boże coś Polskę" i inne pieśni narodowe.

Jan Lohn,
kierownik Czytelni.

Krakus otrzymał wiele innych jeszcze opisów uroczystych obchodów setnej rocznicy 3. maja, ale ich z braku miejsca podać nie może.

Rozmaitości.

Głupi żart. Jest zwyczaj, że w dniu pierwszym kwietnia ludzie starają się zwodzić nawzajem. Niejeden suszy sobie głowę nad wymyślaniem figlów i cieszy się szczerze, gdy ktoś uwierzy choć na chwilę zmyślonej przez niego wiadomości. Gdy kto mądry, to i pożartować z nim miło; ale broń Boże od figlów głupiego, bo słusznie mówią, że „kiepski żart licha wart." Potwierdza to wypadek, który zdarzył się teraz pod miastem Debreczynem na Węgrzech. Włościanka tamtejsza Joanna Bere otrzymała pierwszego kwietnia list z Pesztu, gdzie syn jej przebywał w służbie wojskowej. Pewna więc, że to wiadomość od niego, otworzyła list z radością; lecz zaledwie zdążyła przeczytać kilka wyrazów, krzyknęła przeraźliwie i padła na ziemię. Gdy ją podniesiono, była już martwa. Córka jej, trzynastoletnia dziewczyna, tak się przeraziła nagłą śmiercią matki, że dostała obłędu. Nieszczęsny list, który tyle złego narobił, zawierał krótką wiadomość, iż żołnierz Bere został rozstrzelany za nieposłuszeństwo. Okazało się, że wiadomość ta była zmyśloną, a cały list głupim żartem jakiegoś znajomego, który chciał kobietę zwieść na *prima aprilis* czyli w pierwszy dzień kwietnia.

Nowy niszczyciel zboża. W ciągu dwóch lat ostatnich nieprzewidziana klęska dotknęła wielu rolników niemieckich, szczególniej w południowej stronie ich kraju. Na polach ich zboże niedojrzałe zaczynało żółknąć, kłosy usychały i osypywały się, pozostawiając nagą sło-

mę. Spustoszenie takie ogarniało niekiedy całe pola. Rolnicy wyrzekali z początku na myszy polne, lecz później okazało się, że to nie ich robota. Uczony niemiecki Koch wykrył prawdziwych winowajców. Są to drobniuchne robaczki, których jedna odmiana, czerwona, gnieździ się w kłosach, druga zaś, biała, wewnątrz łodygi. Obsiadały one najpierw żyto, potem po upływie dwóch tygodni ukazywały się na wczesnej pszenicy, a w końcu przenosiły się na orkisz. Zboże obumierało wtedy na całych polach. Owady czerwone, gnieździące się w kłosach, znane już były dawniej w Niemczech w okolicy rzeki Renu, lecz dotychczas szkody wyrządzane przez nie były bardzo nieznaczne; dopiero w ciągu dwóch lat ostatnich dały się tak dalece we znaki, że rolnicy przezwali je plagą. Uczony, który wykrył szkodników, radzi zabezpieczać się od nich wypalając w jesieni ścierniska pozostałe po sprzęcie zarażonego zboża.

Bogactwo nie jest szczęściem. Na wyspie Dżersej, co leży na morzu między Anglią a Francyą, był sobie woźnica, nazwiskiem Karol Prat, zarabiający uczciwą pracą na swe utrzymanie. Wtem umarł jego krewny, wielki bogacz, i cały ogromny majątek, wynoszący aż trzy miliony reńskich, dostał się w spadku Pratowi. Stało się to niespodzianie, pieniądze spadły na biednego człowieka jak z nieba. Oto cóż się dzieje. Nowy bogacz otoczył się niesłychanym zbytkiem; zbudowawszy przepyszny pałac, począł w nim żyć tylko, żeby dogadzać wszelkim swym zachciankom i wymysłom. Po dwóch latach jednak przekonał się, że niema w tem szczęścia. Sprzykrzyły mu się wszelkie przyjemności i rozkosze; wreszcie samo życie zbrzydło, i to tak bardzo, że oto w tych czasach poszedł do stajni, w której dawnej pracował jako woźnica i obwiesił się na drabinie. W ciągu dwóch lat pomimo niepomiernych zbytków, jakich się dopuszczał, zdążył przeżyć tylko trzecią część majątku, a miliony pozostawił komuś, co dalej próbować może, jak bogactwo smakuje.

Z tego wypadku widać doskonale, że nic po bogactwach, a nawet nieszczęście z nich tylko być może, jeśli kto darów Bożych używać na dobre nie umie.

Uczciwy powiślanin. Między ludźmi mieszkającymi na brzegach Wisły wielu jest takich co myślą, że jak kto co złapie i wyciągnie z rzeki podczas powodzi, to już jego zdobycz. Inaczej sądzą jednak ludzie naprawdę uczciwi. Rozumieją oni dobrze, iż ratować mienie bliźniego jest obowiązkiem, a korzystać z cudzego nieszczęścia — to grzech wielki. Tak też myśli i według tego postępuje Jan Wójcik, mieszkaniec Saskiej Kępy pod Warszawą. Gdy była powódź tej wiosny, udało mu się złapać na Wiśle jakąś łódź zepsutą, która bez ludzi płynęła. W łodzi znajdowały się różne rzeczy, a między niemi kufer z odzieżą kobiecą i torbą skórzaną, w tej zaś pieniądze i to nie byle jakie. Gotówki było 375 rubli, a prócz tego list zastawny na tysiąc rubli. Ładna zdobycz! Ale Wójcik nie myślał przywłaszczać jej sobie. Przeciwnie, wywiadywał się, czyja to własność, bo chciał ją zwrócić poszkodowanym. Mijały jednak tygodnie i nikt się do niego nie zgłaszał. Aż dopiero niedawno przybyła Anna Czylińska, wdowa po mieszczaninie z miasteczka Góry Kalwaryi, co leży nad Wisłą o 6 mil od Warszawy. Opłakała już ona stratę swego mienia i miała je za przepadłe. Szczęściem jednak po wielu dniach otrzymawszy wiadomość o Wójciku, udowodniła że jest właścicielką znalezionych przez niego rzeczy i otrzymała je napowrót, uczciwemu zaś człowiekowi ofiarowała dobrowolnie 175 rubli w nagrodę.

Wspominaliśmy już o wielkiem nieszczęściu, jakie na miasto Rzym spadło. Podajemy dziś bliższe szczegóły. O godzinie siódmej rano rozległ się w całem mieście i w okolicy huk przerażający, niczem pioruny. Domy się zatrzęsły, szyby w oknach brzękły i rozsypały się. Mieszkańcy, z których wielu jeszcze spało, pozrywali się wszyscy na równe nogi, a myśląc, że to trzęsienie ziemi i domy się walą, powybiegali na ulice i podwórza, jak kto był, kto w ubraniu, kto w koszuli, a niektórzy z kąpieli wprost nago. Patrzą, a tu ziemia szkłem zasypana, w zachodniej zaś stronie miasta unosi się straszna czarna chmura. Za chwilę wszystko wojsko z miasta i straż ogniowa popędziła w cwał ku tej stronie, za niemi zaś sunęły się przerażone tłumy ludu. Wyległa cała chmara z miasta; dalej rozstawiony już łańcuch żołnierzy ciekawych nie puszcza. Ale straszne rzeczy dojrzeć można nawet zdaleka. Ziemia na polu i w ogrodach powyrywana tak, że miejscami potworzyły się doły kilkanaście łokci głębokie, domy zburzone, a na stoku wzgórza, gdzie była prochownia wojskowa z wieżą, niema nic, tylko trocha gruzów i dół na dziesięć sążni w głąb. Tam i sam leżeli żołnierze i rolnicy zabici lub ranni. Pozbierano ich niebawem i powieziono do szpitali w mieście.

Rzym otoczony jest warowniami, pomiędzy któremi były w różnych stronach miasta cztery wielkie prochownie. Jedna to z nich właśnie, w której mieściło się z górą pół miliona funtów prochu, dynamitu i innych materyałów wybuchowych, wyleciała w powietrze. W prochowni tej stał na straży oddział żołnierzy pod dowództwem kapitana Spakameli. Gdyby nie czujność tego człowieka, wszyscy by zginęli. Kapitan obchodząc rano prochownię, posłyszał w niej jakieś pukanie, jakby huk wystrzałów karabinowych zdaleka. Domyślił się, że naboje strzelają, kazał więc wnet zatrąbić na ucieczkę i krzyknął do ludzi pracujących w polu. Natychmiast żołnierze wybiegli i pędzili przed siebie, a kapitan za nimi ostatni. Ledwie ubiegł sto kroków, nastąpił straszny wybuch, cała prochownia wyleciała w powietrze, a od huku ziemia, ze wszystkiem co na niej, precz dokoła się poruszyła. Kapitan padł, bo obie nogi mu urwało. Wszyscy inni też popadali, częścią zabici, częścią zaś pokaleczeni lub poranieni. Zabitych i rannych naliczono do dwustu ludzi. W okolicy wypadku czterdzieści domów runęło.

Szkody w samem mieście ogromne. Czterysta kamienic jest mocno uszkodzonych, nie licząc już okien, które w całem mieście się potłukły. Nie daleko od zburzonej prochowni stoi sławny na cały świat pałac zwany Watykan, w którym Papież mieszka. Gmach ten byłby runął, lecz od strony wybuchu zasłaniało go wzgórze Janikulum. Część murów watykańskich jednak się zwaliła i dwóch żołnierzy papiezkich zostało ranionych. Ojcu świętemu, który podczas wypadku odprawiał mszę, wypadł kielich z ręki.

Szkody w samym Watykanie obliczono na trzysta tysięcy franków (130 tysięcy reńskich). Więcej jeszcze ucierpiał kościół św. Pawła w pobliżu stojący, Dach na nim zerwany, mur popękał, sławne okna malowane rozprysły się, a szkody w ogóle wynoszą aż pięćset ty-

sięcy franków. Druga świątynia z Watykanem sąsiadująca, kościół św. Piotra, największy w Rzymie, też jest mocno uszkodzony, tak, że naprawa blizko trzysta tysięcy franków kosztować może. Te dwa i jeszcze trzy inne kościoły zamknięto dla bezpieczeństwa ludzi. Pałac królewski, tak zwany Kwirynał, pałac, w którym odbywają się zgromadzenia sejmu włoskiego, jeden z dworców dróg żelaznych i wiele innych gmachów również ucierpiało. Mury w wielu miejscach popodpierano, aby nie runęły. Szkody w domach prywatnych liczą na milion franków, straty skarbu wojskowego drugi milion wynoszą, prochownia z zapasami zniszczonemi kosztowała 460 tysięcy. Tak więc za parę milionów złr. pracy i zasobów ludzkich poszło wniwecz.

Z jakiej przyczyny wypadek nastąpił, nikt nie wie napewno. Domyślają się jednak, iż masa wybuchowa zwana melinitem leżąc sama psuć się zaczęła i ztąd wynikł ogień w prochowni. Teraz rząd włoski radzi nad tem, co przedsięwziąć należy, żeby nadal podobne wypadki się nie zdarzały. A mieszkańcy Rzymu dopraszają się, żeby pozostałe prochownie przenieść dalej od miasta.

Huk wybuchu był tak silny, że w miejscowościach o trzy mile leżących domy się zatrzęsły, a o siedem mil jeszcze go dobrze słyszano.

Pewien francuz ofiarował sto tysięcy franków na naprawę uszkodzeń w pałacu watykańskim w Rzymie.

Zagadka.

Niedaleko od miasta Krakowa
Leży mała i skromna wioszczyna;
Chociaż złota i srebra nie chowa,
Lecz nam święte dzieje przypomina.
Pod prastarą już wierzbą — w tej włości,
Przed dziewięciu nieomal wiekami,
Święty Wojciech choć pełen żałości,
Lecz się żegnał z naszymi przodkami.
Czynił cuda i słowy pocieszał,
Całej polskiej błogosławiąc ziemi
I do Prus na śmierć pewną pośpieszał.
Odtąd zawsze też łzami rzewnemi,
Wierny ludek wciąż miejsce to rosił;
I ztąd modły do Świętego wznosił. —
Od nich wiosce też dano nazwanie,
Jakie? — do Was to zwracam pytanie.

Znaczenie zagadki w Nrze 16-ym: *Zaraz.*

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 12 maja.

Płacono za pszenicę białą od 11.— do 11.60 złr.' za czerwoną od 11.— do 11.50 złr., za żółtą od 11.— do 11.50 złr.; za żyto od 8.40 do 9.— złr.; za jęczmień browarny od 7.25 do 7.75 złr.; na paszę od 6.75 do 7.— złr.; za owies od 7.25 do 7.75 złr.; Rzepak od 14.— do 14.50. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.